

PRZYGOTOWANIA

Dlaczego warto jechać na Syberię? Dlaczego w ogóle jechać za wschodnią granicę? Przecież każdy Polak wie, że to magiczna linia, za którą dzieją się rzeczy straszne, której nie warto przekraczać, bo grozi to śmiercią i kalectwem, więc na wszelki wypadek w ogóle nie powinno się do niej zbliżać. Spróbujcie powiedzieć o planach takiego wyjazdu znajomym – popukają się w czoło i powiedzą: już stamtąd nie wrócisz, zabiją cię, wpadniesz w alkoholizm, zgwałcą cię pijani żołnierze, wdepniesz na bombę, zginiesz w zamachu, pożre cię niedźwiedź, pokąsają węże itd. Większość poradzi pewnie wyjazd na last minute do Egiptu albo do Tunezji. Ale ja niestety nic na to nie poradzę, że moczenie się przez tydzień w ciepłej wodzie i nieopuszczanie swojego hoteliku całkowicie oderwanego od rzeczywistości wydaje mi się bardziej karą za jakieś nieczne przewinienia niż fantastycznym pomysłem na wakacje.

Miałem wizję wyjazdu będącego czymś więcej niż spokojna wycieczka, ale przy tym niezakrawającego na wymagającą ekspedycję, więc zależało mi na zebraniu grupki osób, na które można liczyć i które przy okazji stworzą zgraną ekipę. Nad Bajkałem w końcu miało być przecież pięknie, a połowa przyjemności z oglądania pięknych miejsc polega na możliwości podzielenia się tym z innymi. Do tego o połowę lżej niesie się ciężki plecak, kiedy można komuś ponarzekać, jak to właśnie ciężko jest go nieść.

Poszukiwanie towarzyszy wyjazdu początkowo szło dosyć opornie – wiele osób wciąż powtarzało, że może i by się wybrało, ale... (tu wstawić różne mniej lub bardziej prawdopodobne tłumaczenia). Z obawy, że w końcu przyjdzie mi jechać samotnie, postanowiłem podzielić się moją propozycją w internecie. Efekt przerósł

moje najśmielsze oczekiwania – na ogłoszenie odpowiedziało kilkadziesiąt osób. To się nazywa znaleźć niszę na rynku usług turystycznych!

Koniec końców w skład grupy domorosłych eksploratorów weszło osiem osób. Na wyjazd ze mną zdecydowała się czwórka moich dobrych przyjaciół: Kasia, Ewa K., Maciek i Łukasz, a grupę uzupełniły trzy osoby poznane w internecie, czyli Ala, Ewa Ł. i Artur. Średni wiek uczestników wynosił mniej więcej dwadzieścia pięć lat. Troje z nas dobrze znało język rosyjski, bez którego wyjazdu na wschód stanowią o wiele większe wyzwanie i są wiele uboższe ze względu na brak możliwości lepszego poznania miejscowych.

Ani przez chwilę nie zastanawialiśmy się nad wyborem środka komunikacji, który zabierze nas nad Bajkał – wszyscy chcieliśmy jechać Koleją Transsyberyjską. Już sama ta nazwa budzi ogrom skojarzeń. Nie można się temu dziwić. To najdłuższa linia kolejowa na świecie licząca od Moskwy do Władywostoku 9288 kilometrów (to prawie jedna czwarta obwodu kuli ziemskiej). Rozciąga się przez dwa kontynenty, osiem stref czasowych, biegnie przez zróżnicowane krajobrazy, przekracza kilkanaście olbrzymich rzek, dziesiątki mniejszych i większych miejscowości. Krótko mówiąc, daje możliwość przejechania całkiem sporego kawałka świata w starym, romantycznym stylu, pozwalającym przyjrzeć się każdemu kilometrowi podróży.

Wybranie kolei jako środka transportu to nie koniec dylematów – trzeba się jeszcze zdecydować na jakąś klasę. Rosyjskie pociągi dalekobieżne takich klas mają trzy. Najwyższa z nich, czyli *lüks*, to dwuosobowe przedziały z własną umywalką, które bez wątpienia są wygodne, ale przy tym niezwykle drogie. Kolejna klasa to *kupe*, czyli przedziały czteroosobowe, które przypominają nasze polskie kuszetki. Oczywiście nie są one tak komfortowe jak klasa *lüks*, ale i tak na głowę biją klasę najniższą, czyli tzw. *plackartę*. Wagony plackartne składają się z pięćdziesięciu czterech ponumerowanych miejsc do leżenia niepodzielonych na żadne przedziały. Miejsca na łóżku nie ma tam za dużo, na bagaż jest go jeszcze mniej, a na prywatność nie ma właściwie wcale.

Wschodnimi kolejami miałem przyjemność jeździć tylko w mie-

siącach letnich, więc plackarty nieodłącznie kojarzą mi się z uroczym zapachem wędzonej ryby i wszelkiego innego rodzaju niekoniecznie świeżych produktów spożywczych roznoszącym się po całym wagonie. Zasada „jeden je, wszyscy wachają” (a w bardziej ekstremalnych przypadkach: „jeden się poruszył, wszyscy wachają”) jest tutaj niepodważalna i nierozwiewalna. Dużym źródłem radości są także dzieci podróżujące plackartami – możecie się domyślić, jak potrafi umilić podróż niewinny płacz dziecka tudzież czasem jak najbardziej uzasadnione krzyki jego rodziców, kiedy właśnie próbujecie się zdrzemnąć. Z równie dużym entuzjazmem witany jest każdy chrapiący pasażer – na szczęście przy pełnym komplecie zawsze udaje się na kilku takich trafić. Oczywiście jazda w tak wielkiej grupie ludzi posiada niepodważalny aspekt towarzyski w postaci integracji z co bardziej otwartymi podróżnymi. Historie, których można tam wysłuchać, spokojnie dałoby się zebrać razem i wydać jako oddzielną książkę pod tytułem *Opowieści z plackarty* albo *Jadąc, śmierząc, chrapiąc*.

Postawieni przed takim wachlarzem możliwości zdecydowaliśmy, że najlepszym pomysłem będzie naturalnie skorzystanie z *plackarty*. Problem w tym, że bilet na pociąg tej klasy można kupić tylko w Rosji – potrzebny był więc ktoś, kto nam te bilety będzie w stanie nabyć. Ewentualnie mogliśmy próbować dostać się do Moskwy (najłatwiej, choć niekoniecznie najtaniej, bezpośrednim pociągiem z Warszawy) i na miejscu próbować kupić bilety w dalszą drogę. Niestety, Kolej Transsyberyjska jest dosyć popularnym środkiem transportu, więc dostać na nią bilet jest trochę trudniej niż na pociąg do Kuluszek. Jako że w kwestii drogi powrotnej szybko zdecydowaliśmy się na samolot lecący z Irkucka do Moskwy (wynikało to z oszczędności czasu) i ustaliliśmy, że to wtedy spędzimy kilka dni w stolicy imperium, nie bardzo uśmiechała nam się wizja ograniczenia długości wyprawy o kolejne doby w okolicach Placu Czerwonego. Rozwiązania problemu dostarczyło nam PKP – okazało się, że w każdą środę z Warszawy wyrusza pociąg, który po pięciu dobach podróży kończy bieg w Irkucku, a do tego pozwala przy okazji zwiedzić stolicę Białorusi, gdyż postój w Mińsku trwa aż osiem godzin.

Dla ścisłości warto wytłumaczyć, że w Warszawie wsiada się do wagonu klasy *kupe* podczepionego do pociągu jadącego do Mińska, który to wagon na Białorusi jest dopiero dołączany do składu kierującego się do Irkucka. Z punktu widzenia podróżującego z Polski ma to znaczenie raczej niewielkie, ale warto o tym wiedzieć, gdyż ten pociąg nie znajduje się w rozkładzie! Co ciekawe, w rozkładzie widnieje natomiast inny pociąg do Irkucka, oferujący wyłącznie piekielnie drogie przedziały w klasie *lüks*. Ot, jak wiadać, dociekanie i dopytywanie prawdy w kasach popłaca nie tylko za wschodnią granicą. Warto dopytać również o zniżki – na przykład podróż w grupie liczącej przynajmniej sześć osób pozwala na kupno biletu grupowego, co oznacza otrzymanie po pierwsze dwudziestu procent zniżki, a po drugie biletu w formie fantastycznej wielkoformatowej płachty (jedna pamiątka już z głowy). W ten oto sposób środek transportu został wybrany i zawczasu kupiliśmy bilety na podróż mającą rozpocząć się wieczorem 29 lipca 2009 roku.

Trudno jest określić to specyficzne uczucie, kiedy wreszcie po miesiącach czy latach planów udaje się kupić bilet na wymarzoną podróż. Wielu z nas w życiu kupowało bilety na samolot, międzynarodowy dalekobieżny pociąg czy nawet na łączoną podróż kilkoma środkami lokomocji. Zazwyczaj są to jednak po prostu zwykłe przejazdy, o których myślimy tylko: „ale się wynudzę” albo „co ja będę robił przez tyle godzin” albo „muszę sobie znaleźć coś ciekawego do czytania” albo „trzeba pomyśleć o kanapkach” albo „ile alkoholu muszę wypić, żeby całość przespać”. Podróż Koleją Transsyberyjską to jednak zupełnie inna bajka: będziemy jechać tysiące kilometrów przez kilka stref czasowych i przez zróżnicowane krainy geograficzne, ciągle obserwując, jak świat za oknem odkrywa przed nami coraz to nowe oblicza. Co innego wylecieć samolotem z zimnej Polski i za parę godzin być w ciepłych krajach, a co innego czuć i oglądać ogrom przebywanej przestrzeni. Kolejna kwestia to już rzecz praktyczna – pięć dni w jednym miejscu to właściwie krótkie wakacje. Fakt, że większość czasu w zamknięciu, ale jeśli ktoś kiedyś miał okazję trafić na deszczową pogodę nad polskim morzem, to chyba przyzna, że różnica jest niewielka.

Przepelnieni tą mieszanką ekscytacji, radości i niepokoju rozpoczęliśmy kolejne etapy przygotowań.

Kiedy udało się już kupić bilet do Rosji, wypadało zainteresować się także możliwością jego wykorzystania. Nic przecież po bilecie, kiedy nie wolno będzie przekroczyć granicy. Innymi słowy, przyszedł czas na załatwienie wiz. W dawnych czasach, kiedy nie należeliśmy jeszcze do Unii Europejskiej, ani tym bardziej do Strefy Schengen, otrzymanie wizy do Rosji było formalnością. Płaciło się za tę przyjemność dziesięć dolarów i po niedługim czasie w paszporcie widniała piękna złota wlepka. Kiedy jednak nasz kraj obrał zdecydowany kurs na zachód i wprowadził liczne utrudnienia z przekraczaniem granicy dla naszych wschodnich sąsiadów, ci nie pozostali nam dłużni i zaczęli mnożyć problemy.

Poczytawszy na stronie rosyjskiej ambasady informacje na temat uzyskiwania wiz, zdecydowałem, że prościej będzie, kiedy ten obowiązek zleczę jakiemuś wyspecjalizowanemu biuru podróży. Ze znalezieniem takiej placówki nie ma większego problemu w żadnym dużym mieście. W przybytkach takich siedzą mniej lub bardziej miłe panie, z którymi można przeprowadzić taką oto rozmowę:

– Dzień dobry, chciałbym za pośrednictwem państwa biura kupić wizę turystyczną do Rosji.

– Na jak długo?

– Na miesiąc.

– Do jakiego hotelu pan jedzie?

– Do żadnego, chciałbym pojechać z namiotem nad Bajkał.

– Jak nie do hotelu, to nie można.

– Jak to nie można?

– Nie można. Trzeba wykupić wcześniej noclegi w zarejestrowanym hotelu. Wtedy na zaproszenie hotelu można.

– Ale mnie nie stać na hotel. Poza tym ja nie chcę spać w hotelu. Chcę w namiocie, albo i u ludzi, nie chcę być cały czas w jednym miejscu.

– No to nie można.

– A turystyczną bez zaproszenia na jak długo można?

– Na dwa tygodnie.

– A jeśli wykupię wizę na dwa tygodnie, a będę chciał wrócić po trzech?

– To będzie problem.

– Jaki problem?

– Wsadzą pana do więzienia.

– Czyli na miesiąc, ale nie do konkretnego hotelu w żaden sposób nie można?

– No nie można.

Ot, jak widać, Rosja jest krajem, który na turystów z Polski czeka z otwartymi ramionami. Nie wiem, jak przyjmowani są ludzie z innych krajów Unii, ale podejrzewam, że niewiele cieplej. Na szczęście miałem już za sobą kilka kontaktów ze wschodnią mentalnością i specyfiką, więc ta rozmowa jakoś szczególnie mnie nie zniechęciła. Zasadniczo nie byłem w stanie uwierzyć, że w jakiegokolwiek kwestii związanej z Rosją należy z pełną stanowczością i wiarą traktować słowa: „nie da się” czy „nie można”. Tam załatwić można prawie wszystko, ale jednocześnie właściwie niczego nie da się zrobić prosto, szybko i za pierwszym podejściem.

Postanowiłem do końca zbadać grunt wizowy i dowiedzieć się także, jak ciężko będzie dostać wizę na Białoruś. Chodziło mi o wizę tranzytową, potrzebną do przejechania przez terytorium tego pięknego kraju. Jednocześnie mając na uwadze różne ciekawe zawiłości tamtejszych przepisów, chciałem dowiedzieć się, czy taka wiza pozwoli nam na opuszczenie terenu pociągu i zwiedzenie Mińska. Wydawać by się mogło, że najlepszym źródłem informacji o wizach białoruskich będzie białoruska ambasada. Na stronie internetowej znalazłem numer telefonu do wydziału konsularnego, lecz niestety nie dało się tam dodzwonić. Wybrałem zatem główny numer ambasady, gdzie dowiedziałem się tylko, by dzwonić do wspomnianego już wydziału konsularnego. Po kolejnej próbie telefon odebrała jakaś pani, która powiedziała mi, że to numer prywatny i co chwila ktoś dzwoni do niej, pytając, czy to ambasada. . .

Cóż, z jednej strony może to być kłopotliwe, ale jakie to daje możliwości różnym ludziom mającym nie do końca pozytywny stosunek do rządów batiuszki Łukaszenki. Wystarczy wejść w dobry układ z panią dysponującą „numerem konsularnym” i można

udzielać bardzo ciekawych informacji dzwoniącym do ambasady. Tak się jednak złożyło, że chwilowo nie planowałem przewrotu za naszą wschodnią granicą i bardziej interesowała mnie możliwość bezproblemowego dojechania na terytorium Rosji. Stwierdziłem, że być może coś dziwnego wydarzyło się w trakcie połączenia i następnego dnia ponownie chwyciłem za telefon. W wydziale konsularnym znów pomyłka. Zadzwoiłem zatem na główny numer, gdzie rozmowa była niewiele dłuższa:

- Dzień dobry, chciałbym zadać pytanie dotyczące wiz...
- Proszę dzwonić do wydziału konsularnego.
- Ale tamten numer nie działa.
- Nieprawda. Działa.
- Nie działa. Przed chwilą dzwoniłem, odebrała osoba prywatna i powiedziała, że to pomyłka.
- Działa. Musi działać.

Po tej ostatniej kwestii wypowiedzianej głosem nieznoszącym sprzeciwu usłyszałem już tylko trzask słuchawki. No cóż, wyglądało więc na to, że uzyskanie szczegółów na temat tranzytowych wiz na Białoruś będzie trudniejsze, niż mogło się to wydawać.

Po raz kolejny z pomocą przyszedł internet. Udało mi się wyszukać kilka biur, które profesjonalnie zajmują się załatwianiem wiz do Rosji i na Białoruś. Okazało się, że istnieje opcja wyrobienia wizy turystycznej na dłużej niż dwa tygodnie, jeśli tylko jakieś biuro podróży w Rosji potwierdzi, że będzie się danym delikwentem zajmować i organizować mu pobyt. W tym momencie można się już domyślić, jak wygląda cała procedura. Udajemy się do wybranego biura, uzgadniamy termin wyjazdu i zlecamy załatwienie formalności. Wniosek wizowy wypełniamy pod dyktando, wpisując w odpowiednią rubryczkę zaprzyjaźnione biuro z Rosji, które rzekomo zaopiekuje się nami po przekroczeniu granicy. Oczywiście z tym rosyjskim biurem nigdy kontaktu mieć nie będziemy i możemy o nim zapomnieć, kiedy tylko do paszportu trafi wymarzona wiza. Rzecz jasna, biuro rosyjskie pobiera za takie figuranctwo jakieś honorarium, ale nikt o tym głośno nie mówi, a sama kwota jest skrzętnie ukryta w prowizji płaconej biuru polskiemu. Krótko

mówiąc, wizę można dostać bez problemu, choć troszkę to kosztuje i trzeba dać zarobić kilku osobom.

Korzyść polega jednak na tym, że przy okazji wyrabiania wizy do Rosji biura załatwiają także tranzytówki na Białoruś. Tutaj odbywa się to bez szczególnych problemów, choć i tak warto wspomnieć o dwóch ciekawostkach. Po pierwsze, formularz wizowy musi być wypełniony perfekcyjnie, niedopuszczalne są żadne poprawki, skreślenia czy niewyraźne literki, każda kreseczka musi znaleźć się na swoim miejscu i w ogóle wszystko musi być absolutnie cacy. Na szczęście, kiedy załatwiamy całość przez biuro, kreseczkowy horror zostanie nam odpuszczony, ale nie zazdroszczę osobom próbującym samodzielnie przebrnąć przez te formalności. Po drugie, trzeba wypełnić ciekawą deklarację, na której stwierdzamy, że pozwalamy wybranemu biuru prowadzić za nas działania związane z uzyskaniem wizy. Cóż, wygląda na to, że Białorusini stwierdzili, iż ktoś może chcieć zrobić nam dowcip i postarać się, by w naszym paszporcie wbrew naszej woli znalazła się białoruska wiza. Trzeba przyznać, że ichniejsza ambasada przygotowuje się nawet na działania osób z wyjątkowo wyrafinowanym poczuciem humoru. A może po prostu ciężko pogodzić im się z faktem, że ktoś nie przejdzie samodzielnie przez proces uzyskiwania wizy. W sumie jest w tym trochę racji – jeśli to ja skleciłbym tak wyszukany kwestionariusz, czułbym się oszukany, gdyby ktoś próbował się wymigać od jego wypełniania. W każdym razie po kilku zabawnych odkryciach związanych z uzyskiwaniem wiz w końcu każdemu udało się je otrzymać. Dziękujemy zatem obydwu krajom za gościnność, choć trzeba przyznać, że koszt grubo ponad czterystu złotych za możliwość wjazdu może w najbliższym czasie utrudnić Rosji awans do czołówki krajów najczęściej odwiedzanych przez polskich turystów. Być może jednak w tym szaleństwie jest jakaś metoda – po takich przejściach z wizami znacznie bardziej docenia się świat po drugiej stronie granicy.